

ZBIGNIEW SAFJAN

**RACHUNEK
PRAWDOPODOBIENSTWA**



FIKCJE I FAKTY 1/1987

Pewność, że mam do czynienia ze spiskiem i to nie jakimkolwiek, który można lekceważyć, ale ze spiskiem rozległym i dobrze zorganizowanym, nie zrodziła się od razu, dojrzała we mnie powoli w miarę gromadzenia faktów nie dających się w żaden inny sposób wyjaśnić. Nie należę do łatwowiernych ani, co niektórzy chcą we mnie wmówić, ulegających obsesjom, mam umysł ścisły, myślę logicznie, co niezbędne zresztą w moim zawodzie, i co w sposób niewątpliwy udowodniłem w pracy doktorskiej: „Układy informatyczne w badaniach statystycznych”. Obliczałem prawdopodobieństwo przypadków, a raczej takiego ciągu wydarzeń losowych, które stwarzają złudzenia działalności świadomej.

Jest niemal równe zeru.

Przy podobnych rozważaniach powołuje się zwykle przykład ruletki. Można założyć, że kulka ruletki puszczone w ruch sto tysięcy razy stanie przy każdym z trzydziestu sześciu numerów i że żaden z nich nie będzie wyraźnie preferowany. Prawdopodobieństwo, że za każdym razem będzie to ten sam numer, zbliża się do zera i nie dałoby się już wyjaśnić układem losowym, ale należałoby zbadać konstrukcję ruletki i przyjrzeć się działalności krupiera.

Pracuję, jak wiadomo, w Centralnym Zarządzie Statystyk Ludnościowych i mam nieustannie do czynienia z tablicami statystycznymi i zestawami cyfr, z których wyciągam pewne wnioski i odnajduję prawidłowości w układach losowych. Wiem choćby, ile par kopuluje w Polsce w ciągu jednej nocy i w jakim procencie następuje zapłodnienie. (Niewielkim, nie sięgającym czterech procent). Wiem, ile osób wyjeżdża na letni weekend samochodem i jaki procent musi ponieść śmierć. Wiem także, ile osób wyraża się co dzień nieprzychylnie o poczynaniach rządu i jaka część tych wypowiedzi trafia w formie donosów do odpowiednich władz. Wiem bardzo wiele. Te liczby, wynikające przecież z układów losowych, są stałe. Nie może się choćby zdarzyć, by w ciągu którejś nocy doszło do pięćdziesięciu procent zapłodnień podczas odpowiedniej ilości kopulacji. Gdy dostrzegam sprzeczność z ustalonymi prawidłowościami moich statystycznych obliczeń, wiem od razu, że mam do czynienia z d z i a ł a n i e m mającym na celu burzenie istniejącego porządku rzeczy. Co dzień rano studiuje skrupulatnie przygotowane dla mnie arkusze i gdy jakieś zestawienie odbiega od normy, podnoszę alarm. Istnieje, na przykład, pewna stała liczba codziennych meldunków o pojawieniu się UFO (z tego około trzydziestu pięciu procent meldunków osób niepełnosprawnych psychicznie), a gdy liczba ta nagle wzrasta, wiem, że mam do czynienia z działalnością świadomą, której groźby władze nie są w stanie zrozumieć. A ja rozumiem. To samo dotyczy zresztą liczby cudów, a także (co może wydać się dziwne czytelnikowi) codziennych awarii telewizorów.

W dniu, w którym zaczęła się moja historia, liczba meldowanych awarii wzrosła o osiemdziesiąt pięć procent. Wiedziałem od razu, że coś się stanie.

Nie podaję adresu mojego biura, nie czynię tego nigdy w żadnych notatkach, jest tajny (i wszystkim wiadomy), ale muszę powiedzieć, że atmosfera tego gmachu, jego kształt odpowiadały mi od pierwszego dnia. Budowano go w czasach tak zwanych błędów i wypaczeń (w siedemdziesięciu pięciu procentach ludzie nadają temu określeniu brzmienie ironiczne) i uczyniono wszystko, by długie, krzyżujące się ciągi korytarzy, doskonała jednakowość pokoi biurowych, ciemność i tajemniczość schodów (nie głównych) prowadzących z piętra na piętro i pojawiających się nieoczekiwanie idącemu korytarzem nadawały siedzibie naszej instytucji cechy wielkości, a jednocześnie labiryntu i konstrukcji budowanej wedle matematycznej, logicznej myśli. Zachwyił mnie ten gmach od razu, choć początkowo zdarzało mi się błędzić korytarzami w poszukiwaniu pokoju podszefera lub pomieszczenia ankietowanych, zgodnie z dziedziną, którą się zajmowali, odpowiednią literą alfabetu. To błędzenie, niekiedy długotrwałe, sprawiało mi przecież szczególną satysfakcję, jak rozwiązywanie matematycznej zagadki; idąc długimi korytarzami, oświetlonymi tylko gdzieś w kącie żarówką czuło się własną znikomość, a jednocześnie dumę, że stanowi się właśnie część (choćby śrubkę, ale

niezbędną) potężnego mechanizmu, który przetwarza chaotyczne ludzkie mrowisko w kolumny cyfr i porządkuje je wiodąc od przypadkowości do prawidłowości.

Moja kariera nie była zbyt szybka, ale mniemam (jestem dziś pewny), że dostrzeżono moje walory, a stanowisko nadreferenta w wieku trzydziestu czterech lat jest chyba tego oczywistym dowodem. Zaczynałem jako ankieter. Sądzę, że wszyscy tu pracujący tak zaczęliśmy. Nie mógłbym tego powiedzieć jednak z zupełną pewnością, ponieważ znam tylko ludzi z mojego działu, innych widuję niekiedy w stołówce, ale panuje tam zawsze półmrok i trudno zapamiętać twarze, a rozmowy na tematy bardziej osobiste prowadzi się niezmiernie rzadko. Nie widziałem także nigdy głównego szefa, nie wiem nawet, którymi schodami wchodzi do biura, u podszefa melduję się raz na tydzień, by otrzymać instrukcje. Ten opis biura (który nie wszystkim moim kolegom wydałby się prawdziwy, ponieważ nie dostrzegają istoty rzeczy, a tylko zewnętrzność) świadczy o doskonałości naszej instytucji. Zrozumiałem to już właśnie jako ankieter, gdy dążenie do doskonałości stało się głównym bodźcem mojego działania. Wyznaczono mi oczywiście dzielnicę i tematy. Badałem, jak to się zwykle czyni, pewną losowo wybraną grupę osób, a wyniki uznawano za charakteryzujące postawy, reakcje, zachowania wszystkich mieszkańców. Tkwiła w tym pewna niedoskonałość. Jeśli, na przykład, na tysiąc osób pięćdziesiąt osiem procent ogląda dziennik telewizyjny, a trzydzieści dwa procent się krzywi, czy można mieć pewność, że przy badaniach ankietowych, obejmujących całość wyników będą takie same? Ale czy można badaniami objąć wszystkich? Jaką ilość ankieterów trzeba by wówczas zatrudnić? Z moich obliczeń wynikało, że znaczny procent ludności musiałby się zająć ankietowaniem. Napisałem memoriał proponujący pewne rozwiązania. Uważałem więc, że gdyby każdy obywatel miał obowiązek raz dziennie wieczorem wypełniać krótką ankietę i wrzucać ją do odpowiedniej skrzynki, osiągnęlibyśmy znaczny postęp. Odpowiadałby na proste pytania dotyczące zwykłych życiowych czynności i wydarzeń. Liczba godzin pracy lub nauki. Czas przeznaczony na zakupy. Na miłość. Liczba wypowiedzi negatywnych. Pozytywnych. Awarie urządzeń. Liczba pochłoniętych kalorii itd.

Odrzucono ten projekt, ale otrzymałem wówczas pierwszy awans. Nie pieniądze mnie cieszyły, ale fakt, że zostałem dostrzeżony. Pieniądzy nie trzeba mi wiele, żyję bardzo skromnie, choć nie odmawiam sobie niczego, co jest niezbędne. Wiem, że koledzy mnie niezbyt lubią, bo nie czuję właściwie potrzeby towarzyskich kontaktów. Wracam z biura zawsze tą samą drogą, zawsze piechotą, obiad zjadam zawsze w tej samej knajpce niedaleko budowanej stacji metra, dwie godziny pracuję nad rozwinięciem mojej książki o informatyce stosowanej, raz na tydzień chodzę do kina, w telewizji oglądam tylko dziennik. Przed pójściem spać wypełniam ankietę, którą sam skonstruowałem. Ponieważ jednak moja historia jest w istocie także historią miłosną, muszę napisać o moich stosunkach z kobietami. Przyznam, że nie miałem ich zbyt wiele, znacznie poniżej statystycznej przeciętnej. Do czasu spotkania Joanny nic nie wiedziałem o miłości. (Czy teraz wiem?). Przed paroma laty w Domu Wypoczynkowym poznałem kobietę znacznie ode mnie starszą i mężatkę. Na piaszczystych wydmach nadmorskich uczyła mnie wieczorami techniki stosunków seksualnych. Nie uczyniło to na mnie zbytniego wrażenia. Osiągniętemu zaspokojeniu towarzyszyły niechęć i znużenie; twierdziła, że jestem bardzo miły, nieegoistyczny w miłości (miłości!) tylko nieco oschły. Przychodziła potem raz na tydzień, w niedzielę przed południem do mojego mieszkania. Nawet zapytała kiedyś, czy powinna rozejść się z mężem. Powiedziałem, oczywiście, że nie, statystyka rozwodów i tak niepokojąco rośnie (co świadczy o pewnym rozchwianiu społeczeństwa), a ja nie chciałbym mieć rozwodu w ankiecie. Przestała przychodzić.

Myślę, że napisałem dosyć o sobie. Taki byłem do chwili poznania Joanny i takim pozostałem - logicznie i ściśle myślącym, odpornym na wszelkie obsesje. Moje rozumowanie i wnioski, do których doszedłem, stanowią rezultat skrupulatnej analizy faktów i wydarzeń. Posądzanie mnie o szaleństwo, czy wręcz chorobę psychiczną jest po prostu śmieszne. Nikomu nie uda się w ten sposób ukryć prawdy, choćby prawda była niepokojąca i groźna.

Moja historia zaczyna się 25 kwietnia o godzinie siedemnastej. Właściwie dokładnie: o siedemnastej dziesiątej, w momencie, gdy wyszedłem od wróżki. Wiem, że ten początek wydaje się natychmiast podejrzany: skąd ja i wróżka?! Jak łatwo się domyśleć byłem u niej służbowo, udając oczywiście zwykłego klienta. Ostatnio namnożyło się bowiem sporo osób twierdzących, że umieją przepowiadać przyszłość. Niektóre ogłaszają się nawet w gazetach. Należało je więc jakoś statystycznie ująć, opracować wzór ankiety dla wróżek. Był to mój własny pomysł (zatwierdzony), ale nie bardzo wiedziałem, jak przystąpić do realizacji, jakie pytania są ważne i jak można uzyskać wiarygodną odpowiedź. (Odpowiednie rubryki powinni także wypełniać klienci). Gdy przeczytałem więc w gazecie ogłoszenie, które wydało mi się z pewnością bardziej przekonujące od innych, postanowiłem osobiście udać się pod wskazany adres. Czy mogłem podejrzewać, że nawet położenie mi na biurku tej właśnie gazety było świadomym działaniem? Ogłoszenie brzmiało: „Odsłoni tajemnice przyszłości, wskaże ci drogę do szczęścia znany w całej Europie zakład «Stella»”.

Zupełnie przeciętnie wyglądająca kobieta; mogłaby być urzędniczką pocztową albo pracować w moim biurze. Zbyt obszerne kimono, które miała na sobie sprawiało wrażenie stroju na bal maskowy. Pokój także wyglądał zwyczajnie. Oszczędnie umeblowany, stół, szafki, krzesła - białe, tylko zasłony na oknach brązowe i chociaż świeciło jeszcze słońce, panował tu półmrok. Na stole obok szklanej kuli leżała talia kart. Byłem, przynajmniej tak sądziłem, jedynym klientem, bo nikogo nie spotkałem w małej poczekalni, co od razu wydało mi się dziwne, a nawet podejrzane.

Kazała mi usiąść. Zachowywała się tak, jakby na mnie czekała. Spoglądała długo w swoją kulę, potem przymknęła oczy i tak trwała parę minut w skupieniu, które było niezłe zagrane, a potem tonem całkiem zwyczajnym, nawet nieco burkliwym, jak ekspedientka w sklepie, oświadczyła: „nic nie powiem”.

- Dlaczego? - zdziwiłem się szczerze. - Przychodzę tu jako klient...

- Właśnie - rzekła - jako klient.

Zaskoczyła mnie.

- Że niby - powiedziałem - udaję?

Uśmiechnęła się. Skinęła głową.

- Po prostu - mruknęła - nic nie widzę.

- A co miałyby pani widzieć?

- Przyszłość - oświadczyła. - A jej nie ma...

- A zawsze jest?

- Bywa - stwierdziła - że nie chce się pokazać.

- Gdzie się pokazuje - zapytałem - i z jaką częstotliwością?

Patrzyła na mnie, jakbym był z innej planety.

- Takich pytań - rzekła - nie zadają klienci...

- A dużo pani ich miewa? - nie ustępowałem. Już wiedziałem, jak trudna będzie ankietyzacja w tym środowisku.

- Ludzie - powiedziała - chętnie zaglądną w przyszłość. Czasem im to pomaga.

- Jak często pomaga? No - przeciętnie. Przecież nie poddaję w wątpliwość istoty pani zawodu, to znaczy tego, czy zagłębienie jest w ogóle możliwe, a jeśli możliwe, czy potrzebne, oczywiście nie tylko poszczególnym ludziom, ale użyteczne...

Przerwała mi ostro.

- Ja, panie, płacę podatki i jestem w porządku. Pan nie wierzy i dlatego nic nie widzę. Proszę mi nie zabierać czasu.

No cóż... Pierwsze kroki bywają zwykle trudne. Wstałem i ruszyłem ku drzwiom, a ona patrząc ciągle w tę swoją najzwyczajniejszą pod słońcem szklaną kulę wykrzyknęła, gdy byłem już na progu: „przyszłość czeka za drzwiami!”. Czy mogło mi przyjść do głowy, że to zdanko cokolwiek znaczyło!? Dzisiaj, gdy je rozważam, jego sens wydaje mi się dwu - a

może nawet trójznaczny. Zapowiedź potrzebna, by mnie wprowadzić w odpowiedni nastrój (A jednak wątpliwe... Mogła mnie przecież znacznie wcześniej przygotować na spotkanie z Joanną. I czy jej zamiarem było przygotowanie?) Ostrzeżenie. Właśnie: ostrzeżenie. Ale dlaczego miałyby mnie ostrzegać, jeśli należała do spisku? Postąpiłaby wtedy wbrew instrukcji. Tu jednak za wcześnie na rozważania, podejmę je znacznie później, czy spotkanie z Joanną było zamierzone i jaki był cel wstępny? Mnie pokazać Joannę? Raczej: Joanna miała mnie zobaczyć. Więc: zapowiedź, ostrzeżenie i wreszcie: wskazówka. Od tego progu zaczyna się twoja przyszłość. Oczywiście, wówczas nic takiego nie mogło mi przyjść do głowy. Zamknąłem ostrożnie drzwi (zawsze zachowuję się kulturalnie) i zacząłem schodzić powoli w dół. Na wysokości pierwszego piętra dojrzałem kobietę; schylona wydłubywała coś ze szpar kamiennej posadzki. Chciałem ją minąć, a ona podniosła się właśnie i wtedy zobaczyłem twarz Joanny. Nie umiałbym jej opisać, a zresztą uznałbym za świętokradztwo (ja napisałem: „świętokradztwo”!) używanie słów wytartych i zwyczajnych, które natychmiast upodobniłyby ją do tysięcy innych blondynek, wysokich, o oczach... Nie, takiego koloru oczu nie umiałbym określić i sądzę, że każdy urzędnik paszportowy stanąłby bezradnie (dzisiaj nie wierzę, by Joanna miała dowód osobisty). Jej oczy zmieniały się nieustannie: były i niebieskie, i zielone, i ciemne, i przezroczyste jak woda źródłana. Staliśmy naprzeciwko siebie i nie wiem, jak długo to trwało. Nikt nie pojawił się na klatce schodowej, nie dochodził tu żaden dźwięk, jakby kamienicę świadomie odcięto od reszty świata. Wreszcie usłyszałem jej głos. Powiedziała: „rozsypały się perełki”. I zbieraliśmy te perełki kłęcząc obok siebie na schodach, dotykałem dłoni Joanny, włosów Joanny, a nawet, raz, niechcący, musnąłem wargami jej policzek.

Perełki tkwiły w szparach, pęknięciach, wrzucaliśmy je do torebki, a jedną, niepostrzeżenie, schowałem do kieszeni. I ona mi została. Jako dowód. Namacalne świadectwo istnienia Joanny.

Poszliśmy potem razem i gdy zapytałem, czy mogę ująć ją pod rękę, wyraziła zgodę. Widziałem jej profil, czasem zaglądałem jej w oczy i byłem w stanie, którego dziś jeszcze nie umiem określić. Nigdy nie bałem się śmieśności, bo nie bywam śmieszny, ale teraz myślę, że stan nagłego zachwycenia, który ludzie nazywają miłością od pierwszego wejrzenia, może wydać się postronnym obserwatorom zabawny albo nawet zachęcający do żartów. Urzędnik, dość przecież wysokiego szczebla, odpowiednio ubrany, traci niejako swoją tożsamość; czułem to i chyba po raz pierwszy w życiu pomyślałem: „wszystko jedno”. Pomyślałem: „statystycznie nie ma znaczenia”. Nie wiem, którędy szliśmy, ona kierowała naszymi krokami, najpierw świeciło słońce, potem zapadł mrok, pomyślałem, że ten mrok jest niebieski, najpierw była ruchliwa ulica, potem puste przestrzenie i długa droga przez nowe osiedle, wzdłuż wykopów, nad którymi stały jeszcze maszyny budowlane. Nie umiałbym powtórzyć naszej rozmowy, pamiętam, że mówiliśmy także o przypadku, który nas zetknął i ona twierdziła, że tak być musiało, że moja wizyta u wróżki właśnie o tej porze (powiedziałem jej) i to, że jej rozsypały się perełki właśnie dokładnie o godzinie siedemnastej dziesiąt było niejako zdecydowane z góry. Nie byłbym sobą, gdybym jej nie wyjaśnił istoty przypadku i że wśród ośmiu tysięcy pięciuset nowych znajomości zawartych tego dnia w naszym mieście ze statystyczną (ale właśnie: statystyczną) koniecznością musiał znaleźć się i taki. Lub mógł. Więc podejrzenie, że cokolwiek było zamierzone, nie zaświtało mi nawet w głowie.

Byliśmy sobie z każdą chwilą bliżsi i ta zaskakująca bliskość, jakby od nas niezależna, nam narzucona, zachwycała nas i niepokoiła (Mówię: „nas”, bo widzę jeszcze przytuloną do mnie Joannę i gdyby nie moja służbowa funkcja mógłbym ją na pewno pocałować na ulicy). Gdy znaleźliśmy się na Fiołkowej (dopiero po paru godzinach wiedziałem, że to Fiołkowa) byliśmy już po imieniu i mogłem mówić „Joanno” (nigdy nie przyszło mi do głowy żadne zdrobnienie), a moje imię „Ronaldzie” brzmiało cudownie w jej ustach. (Często słyszałem, że to imię zupełnie do mnie nie pasuje).

Staliśmy przed pięciopiętrową kamienicą na rogu Fiołkowej i Szarej. Zwyczajny

budynek, chyba jeden z najstarszych na osiedlu, potem stwierdziłem, że ma jedno tylko wejście od Fiołkowej właśnie i jedną klatkę schodową. Powiedziała, że musi do kogoś wstąpić na chwilę i żebym poczekał. Odeszła. Czekałem i to czekanie trwało nieskończenie długo. Noc już zapadła, w oknach pojawiły się światła, a ona nie przychodziła. Zaglądałem do bramy, czytałem listę lokatorów, aż wreszcie przyszło mi na myśl, że coś musiało się stać i zrozumiałem, że nie odejdę stąd, póki jej nie zobaczę. Nie pomyślałem wówczas, że ktokolwiek mógłby zatrzymać ją siłą. Mam swoje nawyki starego ankietera. Rozpocząłem systematyczne odwiedzanie mieszkań notując na wszelki wypadek nazwiska lokatorów. „Czy jest jeszcze u państwa pani Joanna?” „Czy zastałem panią Joannę?”. Szybki rzut oka w głąb mieszkania, analiza odpowiedzi, mam dobry słuch i wyczuję każde wahanie w głosie. Odpowiedzi nie budziły jednak wątpliwości. Mężczyzna w rozchełstanej na piersiach koszuli. Kobieta w szlafroku. Starsza pani w grubych okularach. „Nie, nie mieszka, nie było, może na trzecim piętrze, może u Ludwikowskich...” Na trzecim piętrze kilkunastoletnia dziewczyna powiedziała „zaraz zawołam”. Serce zabiło mocniej, ale na progu pojawiła się kobieta, która na pewno nie była Joanną. Siwiuteńka jak gołąbek. „O kogo chodzi, zapytała, może ta ankieterka, która była tu dzisiaj?”.

Na piątym piętrze, gdy traciłem już nadzieję, otworzył mi drzwi wysoki starzec o wyglądzie profesorskim. Zaprosił do przedpokoju. „Pani Joanna, powiedział, przecież tu już dawno nie mieszka”. Ale była u pana! - zawołałem. „Odwiedza starego, uśmiechnął się, posiedzimy, pogadamy, popływamy po morzach i oceanach”.

Okazało się, że nie zna jej nowego adresu, tylko telefon. Napisał mi wyraźnie na kartce wyrwanej z zeszytu, Joanna Krępińska, telefon 4487653. Opuszczałem kamienicę uspokojony; byłem już pewny, że znajdę Joannę.

Udało mi się złapać taksówkę, a w mieszkaniu nie zmieniając nawet ubrania (nigdy nie wchodzę do mojego pokoiku w butach, a wówczas...) siadłem do telefonu. Jak bardzo chciałem usłyszeć jej głos! I usłyszałem. To była ona. „Joanno, zapytałem, to ty? Dlaczego?”. „Bardzo mi przykro - zaczęła...” I w tej chwili połączenie się urwało. Nakręciłem natychmiast po raz drugi ten numer. Odezwał się głos męski. „Czy mogę prosić panią Joannę? Przed chwilą z nią rozmawiałem”. „Nie ma tu żadnej pani Joanny” brzmiała odpowiedź. Pomyślałem: zwykła omyłka, wyskoczył nie ten numer. Wybierałem cyferki na tarczy z niezwykłą starannością. Ten sam męski głos. „Czy to 4487653?” zapytałem. „Tak, oczywiście, z niewątpliwą pewnością”.

Zamarłem ze słuchawką w ręku! Po tej „niewątpliwutkiej” poznałbym go wszędzie! To był nadinstruktor z naszego biura. Nazywaliśmy go A3. Cóż za niezwykły przypadek! (Wtedy jeszcze myślałem: przypadek.) Nie przedstawiłem się, położyłem słuchawkę.

Zanalizowałem sytuację. Staruszek mógł się pomylić dając mi numer. Ja, nakręcając po raz pierwszy (w pośpiechu) pomyliłem się także i wybrałem właściwy. Jakie jest prawdopodobieństwo takiego nagromadzenia przypadków? (pomyłka staruszka, który mi daje numer właśnie nadinstruktora naszego biura, pomyłka moja, dzięki której nakręcam przypadkowo numer Joanny, nie wiedząc przecież, którą cyfrę zastąpiłem niewłaściwą, a raczej: właściwą). Obliczyłem to prawdopodobieństwo i przeraziłem się. Wynosiło: 0,007. Spędziłem parę godzin przy telefonie zmieniając w rozmaity sposób kombinację cyfr. Budziłem jakichś ludzi. Ilość możliwych kombinacji była jednak tak ogromna, że szansa trafienia na właściwy numer zbliżała się do zera.

Następnego dnia rozpocząłem systematyczne poszukiwanie Joanny. Ona nie mogła mnie znaleźć, nie znała nawet mojego nazwiska. Więc przede wszystkim biuro adresowe, biuro meldunkowe, do tych instytucji miałem stosunkowo łatwy dostęp. Okazało się, że mieszka ją w naszym mieście cztery Joanny Krępińskie, a telefon ma tylko jedna. (Zupełnie inny numer). Odwiedziłem je wszystkie. Żadna z nich nie była Joanną. Odwiedziłem jeszcze raz staruszka na Fiołkowej. Nie miał, niestety, fotografii swej dawnej lokatorki i nie mogłem z

całą pewnością stwierdzić tożsamości jego Joanny z moją. Ale przecież był ten telefon i słyszałem głos Joanny! Twierdził, że numer jest właściwy, podyktowany przez nią, nigdy jednak nie próbował z niego korzystać. Najniewątpliwiej numer nadinstruktora A3! Ukrywał Joannę!? Po co? Dlaczego? Nic jeszcze nie układało się w spójną całość. Poszedłem także do wróżki, długo dzwoniłem do drzwi. Z sąsiedniego mieszkania wyszła wreszcie jakaś kobieta i oświadczyła, że Stella wyjechała z Warszawy. Przypadek? Właśnie teraz? Następnego dnia po moim spotkaniu z Joanną? Odwiedziłem wszystkie mieszkania w kamienicy, w której mieszkała wróżka. Joanna musiała przecież u kogoś być, jeśli schodziła ze schodów. Więc tylko u Stelli...

Nie wiem, czy zacząłem pracować gorzej, czy wyglądałem niezwykle, ale gdy przychodziłem do biura, czułem na sobie uważne, ukradkowe spojrzenia podległych mi referentów i podreferentów. Nie próbowałem rozmawiać z A3. Wiedziałem już, że ta rozmowa nic nie da. Obserwowałem go przecież uważnie, gdy tylko spotkałem na korytarzu. Wchodził często do pokoju podreferenta B8. Udało mi się podsłuchać fragment rozmowy (ja na korytarzach naszego biura też czasem umiem być niewidoczny), gdy stał już na progu. „Niski współczynnik prawdopodobieństwa kilku kolejno następujących zdarzeń... - mówił A3. Wzrost nerwowości - przerwał mu B. - Już to obserwuję”.

Co znaczyła ta rozmowa? Czułem, że zaczyna działać jakiś sygnał, że słyszę go ciągle, niepokoi mnie coraz mocniej.

Dręczyła mnie tęsknota. Nie pamiętam, by kiedykolwiek przedtem to słowo cokolwiek dla mnie znaczyło. Zamiast pracować włóczyłem się po ulicach, obiad jadłem co dzień w innej knajpie i wierzyłem, że muszę spotkać Joannę. Miałem rację. To popołudnie czwartego maja i rano piątego były przełomowe. Dzień był piękny, wiosenny, godzina, jak wówczas, siedemnasta dziesiąta. Usiadłem na ławeczce na placu osiedlowym, zapaliłem papierosa (nigdy przedtem nie paliłem) i obserwowałem ludzi wracających z pracy, kobiety idące z siatkami pełnymi zakupów, dzieci bawiące się w opuszczonym wykopie. W nowej siedmopiętrowej kamienicy, która górowała nad placem okna były przeważnie otwarte, firanki łopotały na wietrze. Nawet wesoło i kolorowo wyglądał ten budynek. Nie wiem dlaczego przyglądałem się ze szczególną uwagą oknom na trzecim piętrze. Dwa po lewej stronie były zamknięte. „Gdzieś, w takiej samej, myślałem, lub zupełnie innej kamienicy mieszka Joanna”. I wtedy ją zobaczyłem! Twarz przytuloną do szyby zamkniętego okna! Nie mogłem się mylić, nie uległem złudzeniu. To była ona! Widziałem ją żywą, prawdziwą, taką jak wówczas, gdy zbierała perełki na schodach! Zerwałem się z ławki i pobiegłem do bramy. Nie niepokoiło mnie nawet, że mężczyzna w granatowym garniturze i z odpowiednią teczką przeskakujący po parę stopni schodów może wydać się śmieszny, bez trudu oczywiście ustaliłem, które to mieszkanie. Nacisnąłem dzwonek, potem stukąłem, potem stukąłem, potem waliłem pięściami w drzwi. Nikt się nie odezwał. Z sąsiedniego mieszkania wyjrzał jakiś mężczyzna, popatrzył na mnie chwilę i oświadczył: „panie, tam przecież nikogo nie ma, oni wyjechali”. Cóż za bzdura! Widziałem Joannę i nie mogłem pojąć, dlaczego nie podchodzi do drzwi. Nie zamierzałem ustępować. Najbliższy komisariat mieścił się niedaleko. Wyjaśniłem dyżurnemu, że w mieszkaniu takim a takim najprawdopodobniej więziona jest kobieta. (Jakie inne wytłumaczenie mogło być prawdopodobne?) Nie bardzo mi wierzył, ale legitymacja mojego biura zawsze robi dobre wrażenie, wiadomo, że tam pracują ludzie poważni.

Polecił kapralowi iść ze mną. Joanna nie pojawiła się już w oknie, ale gdy stanęliśmy pod drzwiami, dobiegł mnie szmer, jakby westchnienie, jakby dławiony płacz. Kapral nic nie słyszał: wahał się, gdy zażądałem, by wyważył drzwi. Stukał, dzwonił. Po schodach wdrapywała się wolno na trzecie piętro starsza kobieta, spojrzała na nas nieufnie, a nawet groźnie, „Czyście oszaleli, ludzie... Pan dyrektor wyjechał, a wy się dobijacie” Kapral wyjaśnił, o co chodzi. „Naprawdę zwariowali, powiedziała kobieta, mam klucz, bo kwiatki podlewam i chociaż mi nie wolno, otworzę”.

Mieszkanie było puste. Doskonale puste i o żadnej kryjówce, komórce, zakamarku mowy być nie mogło.

Długo się musiałem tłumaczyć w komisariacie, podpisałem protokół i wróciłem do domu zmęczony, niemal nieprzytomny. Przystawałem wierzyć w przypadek.

Następnego dnia, piątego maja, spóźniłem się o parę minut do pracy. Drzwi do pokoju referenta B8 były uchylone. Gdy wszedłem bez pukania (B8 mi podlega) zobaczyłem A3 i podinstruktorkę C11. Milczeli, gdy stanąłem w progu. „Źle wyglądasz, powiedział A3”. „Może to miłość, roześmiał się B8”. I wtedy doznałem olśnienia! Oni na mnie czekali! Jak czeka się na kogoś poddanego eksperymentowi, by sprawdzić jego reakcje.

„Jakie jest prawdopodobieństwo, zapytałem spokojnie, że ciąg wydarzeń, a każde z nich służy wyraźnie temu samemu celowi, stanowi rezultat nagromadzenia przypadków?” „To zależy - rzekł A3 - taki czy inny fakt może sprawiać wrażenie działania celowego, ale nie musi z niego wynikać. Celowość może być złudzeniem. Pamiętaj, że każdy układ losowy jest możliwy. Wygrana trzy razy pod rząd w Totka też mieści się w granicach prawdopodobieństwa”!

Więc o to mu chodziło! Podważyć zasady, na których opiera się nasza praca! Nie odróżniać działania celowego od nagromadzenia przypadków! Wszystko jest wątpliwe i wszystko jest możliwe!

Nie, i jeszcze raz nie! Po paru godzinach otrzymałem następny dowód. Wraciałem właśnie z archiwum, które mieściło się przy końcu korytarza czwartego piętra oznaczonego literą L. Ciemnowo jak zwykle. Pusto. Szedłem szybko i gdy skręcałem już w korytarz Ł, zobaczyłem Joannę. Widziałem ją parę sekund, ale to wystarczyło, żeby mieć pewność! Biegłem, a ona zniknęła. Mogła wejść do któregoś z pokoi przy Ł, mogła również pójść czwartymi schodami, bo właśnie przy nich ją dostrzegłem. W dół lub w górę. Wtedy szansa jej znalezienia wyniosłaby jeden na pięćset dwadzieścia cztery, bo tyle w naszym biurze było pokoi. (Odjąłem, oczywiście, natychmiast w pamięci te przy korytarzu L, które mijalem, oraz gabinety szefa i trzech jego zastępców.)

Rozpocząłem poszukiwania. Można sobie wyobrazić twarze urzędników, którym zadawałem pytania: „czy nie było u was młodej kobiety, tak a tak wyglądającej?”. I to właśnie poszukiwanie, które, jak potem uznałem, było najzupełniej zbyteczne (wszyscy odpowiadali przecząco) dało podstawy do plotek o mojej obsesji. Wróciłem do siebie i rozważałem sposoby znalezienia Joanny. W jakim charakterze była w naszym biurze? Istniały dwie możliwości: zatrudniono ją jako ankieterkę. (Przypomniałem sobie, że w jednym z mieszkań na Fiołkowej powiedziano mi o wizycie ankieterki). Odwiedzała któregoś urzędnika. Należało więc przejrzeć dokładnie kartotekę ankieterów. Oraz zbadać wydawane tego dnia przepustki. Była to ogromna praca. Ankieterzy podlegali nadinstruktorom rozmaitych wydziałów, musiałbym więc także prosić A3 nie posiadając żadnej służbowej motywacji. Przepustki... należało uzyskać zgodę podszefa.

Już sięgałem po słuchawkę, by rozpocząć rozmowy z nadinstruktorem, gdy nagle... zrozumiałem. Natchnienie, jak się okazało, potrzebne bywa także pracownikom urzędów statystycznych. Nie znajdę w ten sposób Joanny. Miałbym szansę (określoną), gdyby wszystko, co mnie spotkało, było tylko dziwnym nagromadzeniem przypadków. Ale wystarczyło raz jeszcze zanalizować fakty i obliczyć współczynnik prawdopodobieństwa, by przekonać się ponad wszelką wątpliwość, że o przypadkach nie może być mowy. Byłem przedmiotem świadomego działania! Więc: spisku! W spisku uczestniczyli A3, B8, profesor z Fiołkowej, wróżka Stella, prawdopodobnie także C11. I z pewnością inni. Musiałem dokonać próby znalezienia odpowiedzi na wiele pytań.

Mogły być rozmaite, z tego zdawałem sobie sprawę, ale właśnie przedstawienie paru wersji, które przecież potwierdzały jedną, zasadniczą, wydawało się niezbędne. Powiedziałem to szczerze podszefowi, gdy do niego poszedłem, bo pójść musiałem. O co chodziło w

spisku? O to, żeby Joannę pokazać Ronaldowi i potem parokrotnie ją pokazując, starannie przed nim ukrywać? Doprowadzić nadreferenta ważnej komórki biura (nie przeceniałem się przecież) do zwątpienia w sens wszelkich badań nad prawidłowością i przypadkowością? Nie, moja historia stanowiła tylko fragment działań spiskowych i to może fragment nie zamierzony nawet (przynajmniej na początku), a przypadkowy. Czy naprawdę nie zamierzony? Przecież właśnie B8 położył mi na biurku gazetę z ogłoszeniem Stelli, ale nie mógł wiedzieć z całą pewnością, kiedy tam pójde i czy to uczynię. (Mógł jednak założyć, że zrobię to na pewno). A Joanna? Była tylko narzędziem w ich ręku? Nieprawdopodobne. Musiała świadomie uczestniczyć. (Jakże to bolesne!). Gdybym teraz zaczął, jak przypuszczali, przeglądać spisy ankietatorów i dokumenty Biura Przepustek, ośmieszyłbym się nic nie znajdując i stał nieużyteczny dla Biura.

Dlaczego właśnie mnie wybrano jako przedmiot ich działania? Istnieje tylko jedna odpowiedź: byłem dla nich groźny! Przypuszczali (niesłusznie zresztą), że się domyślam, że wpadłem na trop... Czy miałem podstawy ku temu? Nic szczególnego nie mogłem sobie przypomnieć. Wypowiedzi A3? Kiedyś, pamiętam, przynosząc mi arkusze ankietatorów oświadczył: „Czy naprawdę myślisz, że te dane są prawdziwe? Zastanawiałeś się, na czym polega fałsz statystyki?”. Tak. Wątpił w sensowność... Zastawałem ich niekiedy w pokoju B8. Przerywali rozmowę, gdy wchodziłem... Było jednak zapewne coś, czego nie dostrzegłem, o czym zapomniałem. Musiało być.

Należy przypuszczać, że celem spisku było szerzenie zwątpienia. We wszelką sensowność i prawidłowość. W to, co stanowi podstawę ludzkiego działania. Gdybyśmy byli przedmiotem ataku z kosmosu, taki właśnie cel chciałyby osiągnąć atakujące nas istoty. Otwierały się przede mną szerokie perspektywy myślowe. Dostrzegałem niebezpieczeństwo. Widziałem jego rozmiary. Czulem usprawiedliwioną dumę, że właśnie ja...

Podszef wysłuchał mnie z ogromną uwagą. Zawsze skłonny był do wysłuchiwania informacji o podległym sobie personelu. Czy uwierzył? Czy pojął? Powiedziałem mu także, że mogłem być dla spiskowców czymś w rodzaju eksperymentalnego zwierzęcia, na którym wypróbowywano skuteczność metod. Oświadczył tylko „starajcie się dowiedzieć czegoś więcej”. (Zawsze był małowówny). Czy mogłem to uznać za równoznaczne z udzieleniem mi pełnomocnictwa? Wyobrażałem sobie już przesłuchania A3 i B8. Także odnalezienie wreszcie Joanny. (Choć zdawałem sobie sprawę, że będzie to trudne). Joannę przesłuchiwałbym sam. Na to będę nastawał. Opracowałem pytania i metody.

Moje podejrzania zataczały coraz szersze kręgi. Ankietery, podwładni A3. Lokatorzy kamienicy, w której widziałem Joannę. A podszef? Odnosiłem wrażenie, a miałem pewne podstawy, że ostrzegł A3.

Gdyby nie dręcząca mnie ciągle tęsknota, pragnienie zobaczenia Joanny, byłbym szczęśliwy. Planowałem coraz skuteczniejsze metody śledztwa. Z matematyczną ścisłością przewidywałem ich skuteczność. Zbliżałem się do rozwiązania najtrudniejszych zagadek. Dlaczego profesor podał mi numer telefonu prywatnego A3 jako numer Joanny? Dlaczego w ten sposób naprowadzał mnie na trop, a jednocześnie...

Postanowiłem pójść do samego szefa. Wiem już, że nie spoczne, póki nie zdemaskuję spisku.

Spodziewałem się, że zostanie dokonana taka próba. Że uczynią teraz wszystko, by zapewnić sobie bezpieczeństwo, a mnie unieszkodliwić. Niewiele brakowało, by ich plan się powiódł. Mogłem, pozbawiony celu, otworzyć gaz w kuchni, albo... uznano by, że sam otworzyłem, albo...

Było tak. Wchodząc do mojej knajpki, w której codziennie teraz znowu jadałem obiady, zobaczyłem Joannę! Była tuż, tuż, stała przed wystawą mody damskiej... chciałem podbiec do niej i znieruchomiałem. Wiedziałem, że za chwilę zniknie, albo stanie się coś, co uniemożliwi

mi... Nic się nie stało. Joanna mnie dostrzegła i po prostu podeszła do mnie. W pełnym wiosennym słońcu wydawała się zwyczajniejsza. Miała na sobie prostą sukienkę, nie nosiła perełek. Powiedziała: „nareszcie”. Powiedziała: „Już myślałam, że nigdy się nie spotkamy”.

Nie wiedziałem, jak się zachować. Byłem szczęśliwy i przerażony. Jeszcze nie rozumiałem, ale już zaczynałem rozumieć... Moje ostrożne pytania były w istocie zbyteczne, sama wyjaśniała wszystko mówiąc szybko, ale tak właśnie jak powtarza się wyuczoną lekcję. Że naprawdę wcale nie nazywa się Joanna, tylko Stefka, ale nie lubi tego imienia i wymyśliła sobie dla bliskich (uśmiech) Joannę. Od bierzmowania. Żadna tam Krępińska, ale zwyczajnie Kowalówna, bo pochodzi ze wsi, a przyjechała do miasta, żeby... (uśmiech). Wróżka Stella (na moje pytanie) to jej ciotka, a ciotka każdemu wychodzącemu mówi: „przyszłość czeka za drzwiami”, taki ma zwyczaj. Na Fiołkowej zasiedziała się rzeczywiście u pewnego starego nauczyciela... U tego nauczyciela mieszkała kiedyś pewna pani Joanna, pochodząca także z ich wsi, rozwiedziona żona wysokiego urzędnika, ale nie zna nazwiska... Gdy wybiegła, mnie już nie było. (Niby że odwiedzałem wówczas inne mieszkania). Bardzo żałowała, nawet popłakiwała... (uśmiech). W Biurze? Była w wielu biurach szukając pracy. Nigdy nie rozmawiała ze mną przez telefon. (Tego już nie udało im się wyjaśnić, a ja słyszałem głos Joanny, podobnie, jak widziałem ją w oknie.) Nie zna żadnego dyrektora, nie była w niczym mieszkaniu zamknięta, nie zna nadinstruktora...

I ja miałbym w to wszystko uwierzyć! (W pewnym momencie byłem temu bliski i zrozumiałem, jaki jestem nieszczęśliwy! Nienawidziłem ich wówczas całym sercem!). Uwierzyć w nagromadzenie przypadków, których współczynnik prawdopodobieństwa...

Zapytała: „dokąd pójdziemy?”. Z takim niewinnym i czułym uśmiechem! Mogłem ją zabrać do siebie i potem, nie mogąc zasnąć, wyobrażałem sobie ten wieczór, Joannę tutaj, obok mnie, Joannę w łazience, Joannę całującą... Nikt się nigdy nie dowie, ile kosztowała mnie ta rezygnacja. Cierpiałem. Cierpiałem tak mocno, że w pewnym momencie... Ich plan mógł się powieść. Wytrzymałem. Spisek nie jest złudzeniem. Jestem mocny. Jestem twardy. I nie spocznę, póki ich nie zdemaskuję.